

CI 473



OD TYBINGI DO GETYNGI

„Man hat noch nie an einen Gerichtstag
Vor des Königs Thron so viele Beschwerden
gehört.
Denn ergriff er das Wort, so floss die zierliche
Rede
Seiner Entschuldigung her, als wäre lautere
Wahrheit
Alles wusste er beiseite zu lehnen und alles
zu stellen.
Hörte man ihn, man wunderte sich und glaubte
ihn entschuldigt.
Ja, er hatte noch übriges Recht und vieles zu
klagen”.

J. W. Goethe, *Reineke Fuchs*,
vierter Gesang, wiersze 75-84

Na początku 1963 r. ukazały się Tezy Getyngieńskie, poświęcone sprawie rewizji granic Polski¹. Podobnie jak wszystkie druki niemieckiej propagandy rewizjonistycznej, tezy te nie wnoszą żadnej nowej myśli i żadnego nowego argumentu do składnicy oręża słownego w walce o polskie ziemie². Ale zasługują one na baczną uwagę ze względu na kontekst zdarzeń, w jakim zostały ogłoszone. Są bowiem odpowiedzią, wyraźnie niezaadresowaną, na dwie doniosłe enuncjacje: wybitnych działaczy ewangelickich i Kościoła Ewangelickiego w Niemczech.

W Republice Federalnej powstają niewątpliwie drogą szczęśliwej emergencji załóżki odrodzenia moralnego, surowego sądu nad niedawną przeszłością, oraz diagnozy, pełne niepokoju o teraźniejszość i przyszłość narodu niemieckiego. Każdy, kto patrzy na sprawy ludzkie oczami życzliwości powszechnej, z radością wita te fakty. I każdy chciałby te pędy nowego życia czule nakryć jakimś kloszem ochronnym, by mogły pomyślnie się rozwijać, nim okrzepną dostatecznie, iżby się przeciwstawiać otaczającemu je złu.

¹ *Zur Wiedervereinigung Deutschlands und zur Oder-Neisse-Frage. 30 Thesen des Göttinger Arbeitskreises ostdeutscher Wissenschaftler*. „Bulletin des Presse- und Informationsamtes der Bundesregierung”, 1 marzec 1963, nr 38, s. 357.

² W czwartym numerze „Cahiers Pologne-Allemagne” za rok 1963 ukazał się artykuł profesora Roberto Pinto o tezach „prawniczych” Koła Getyngińskiego. Autor dobitnie, celnie i przekonywająco wykazuje, jak bezzasadne są prawniczo te tezy. Łącznie z artykułami docenta K. Skubiszewskiego w numerze pierwszym tego czasopisma z roku 1961 i profesora Ludwika Ehrlicha w numerze 2 (13) 1962, byłyby to odpowiedź, w pełni rozstrzygająca wątpliwości prawnicze. Ale tezy getyngińskie zasługują na to, by je ukazać w świetle oceny moralnej. To stara się uczynić autor tych wywodów.

Komu więc zależy naprawdę na tym, by cała ludzkość stała się wielką społecznością ludzi dobrej woli, ten z pewnością z uwagą i radością czytał lub przeczytał poważną, odpowiedzialnie wymierzonymi słowami wypowiedzianą tybingeńską enuncjację ośmiu wybitnych osobistości, które zajmują poważne stanowiska w świecie protestanckim zachodnich Niemiec. Podpisana 6 listopada 1961, ogłoszona w styczniu 1962 w Tybindze, swoją powagą deklaracja ta zgodna jest ze starą tradycją uniwersytecką tego miasta, gdzie kiedyś uczył czcigodny filozof Christoph Sigwart. Wśród podpisanych są dwa nazwiska fizyków światowej sławy, Heisenberga i von Weizsäckera.

W słowach, pełnych powagi i umiaru, przypominają sygnatariusze tej deklaracji rządowi federalnemu i znacznej części ludności, że ulega niebezpiecznym iluzjom, a przez to wykazuje nieroztropnie brak realistycznego przewidywania i zaniedbuje zadania polityczne i społeczne. I wzywają oni rząd, by odstąpił od swoich sztywnych żądań rewindykacyjnych i wyraźnie wstąpił na drogę polityki pokojowej w stosunku do Polski, uznając jej granice zachodnie. Przypominają dalej, że Niemcy utraciły w hitlerowskiej wojnie kredyt moralny na Zachodzie i że nieufności pełna jest postawa ich aliantów. Wskazują też, że pilnym zadaniem jest polityka społeczna i reforma szkolna. Jednocześnie jednak wyrażają nadzieję, że alianci nie zawahają się bronić Berlina zachodniego nawet wojną nuklearną.

Jakkolwiek tym ostatnim zwrotem czynią wyraźną koncesję dla potocznej opinii swojego społeczeństwa, deklaracja tybingeńska wywołała atak, pełny zacietrzewionej nienawiści ze strony nacjonalistów wszelkich odcieni. Nawet w tak niezależnym organie, jakim jest znane pismo „Der Spiegel”, znalazł się wkrótce po ogłoszeniu deklaracji tybingeńskiej artykuł, który wskazuje, jak bardzo zatruta i naładowana nienawiścią jest atmosfera zachodnich Niemiec.

Kościelne sfery protestanckie najwyraźniej inaczej, niż ten artykuł, oceniły powstałe przez tę deklarację położenie. W bardzo krótkim czasie po niej Ewangelicki Kościół Niemiec wypowiedział się w sposób zasadniczo podobny, jak deklaracja tybingeńska, ale bardziej ogólnikowo i znacznie mniej stanowczo. Swoją odezwą do wiernych Kościoła Ewangelicki pragnie również przyczynić się do utrwalenia pokoju między narodami w ogóle, a między przeciwstawnymi systemami politycznymi w szczególności. Oświadcza, że dziś już nie może być mowy o sprawiedliwej wojnie, i opowiada się za pokojową współegzystencją przeciwstawnych obozów. Ale podział dawnych Niemiec na dwa państwa uważa za prowizoryczny i uznaje, że traktat pokojowy nie może go utrwalić. Przypomina też, że kto chce pokoju, ten musi być gotowy na pewne ofiary, a mianowicie na rezygnację z niektórych swoich postulatów. I postawa kontrahentów, zawierających pokój, musi być taka, by strona przeciwna widziała przed sobą partnera, który godny jest zaufania.

W tej odezwie, czy też w tym orędziu, nie mówi się jednak o żadnym określonym problemie spornym: przemilczana jest też zupełnie sprawa granicy na Odrze i Nysie. Tylko pośrednio można wnioskować, że autorzy orędzia godzą się na tę granicę: mówią bowiem tylko o zjednoczeniu dwóch części Niemiec, podczas gdy w oficjalnej terminologii rewindykacyjnej Niemiecką Republikę Demokratyczną nazywa się „Niemcami Środkowymi”, a nasze Ziemie Zachodnie noszą miano *Ostdeutschland*.

Ale ten nasz wniosek nie jest zupełnie pewny, odezwa bowiem jest bardzo powściągliwa i ogólnikowa w swoich zwrotach. Mówi też wyraźnie, że trzeźwych, rzeczowych zagadnień politycznych nie należy przesłaniać propagandą moralizującą. I dyskretnie poprzestaje na tym ogólniku, który niestety jest niepokojący: od jego ścisłej i dokładnej interpretacji zależy właściwie cały sens i walor tego trochę zagadkowego orędzia. Wszystko tu zależy od tego, czy orędzie zwraca się przeciw moralizującej faryzeuszowsko propagandzie rewizjonistycznej, czy też opowiada się za tym, by Niemcy nie rezygnowały ze swoich roszczeń ze względu na pewne postulaty moralne.

Najstaranniejsza egzegeza tekstu tego orędzia nie pozwala ostatecznie rozstrzygnąć tej wątpliwości. Pozytywnym dowodem, przemawiającym za pierwszą interpretacją, jest to, iż tak to zrozumieli specjaliści od badań niemieckiego wschodu z Gentyngińskiego Koła Pracy, i że, tak właśnie rzecz rozumiejąc, poczuli się w obowiązku moralnym skarcić pobożnie, stanowczo, ale dyskretnie, Ewangelicki Kościół w Niemczech, a także tych imiennie nie wymienionych autorów odezwy tybingińskiej oraz ewentualnie tych mężów stanu, czy też polityków niemieckich, którzy by się ośmielili zalecać Niemcom rezygnację z naszych ziem zachodnich.

Getyngińskie Koło Pracy przy całej swej działalności wszechstronnej nie opracowało jeszcze dotąd almanachu getyngińskiego, który by obejmował nazwiska i przedstawiał zasługi osobiste powiązanych w koło odkrywców prawdy niemieckiej o niemieckim wschodzie. Taki almanach nie dawałby wiernego obrazu rzeczywistości, jak bowiem wiadomo, ci uczeni badacze nie uznają prawdy za mistrzynię Historii. Ale o tym kole wystarczy wiedzieć, że w nim biorą udział między innymi mężowie zaufania reżimu hitlerowskiego, pisarze, znani z umiejętnego przeobrażania faktów: profesor historii nowoczesnej na niemieckim uniwersytecie w Poznaniu w czasie okupacji oraz, ogólnie biorąc, wypróbowani działacze i nosiciele niemieckiego nacjonalizmu nawet sprzed pierwszej wojny, a także sprzed drugiej: nacjonałści *der alten Observanz*, którzy nic się nie nauczyli na dość uciążliwych dla nich lekcjach Historii i z pewnością nie doznali żadnego moralnego wstrząsu, patrząc na zbrodnie hitleryzmu, dziś zatarte w pamięci i w dokumentach, czy też biorąc w nich udział. Są oni żywym i naocznym świadectwem, jak może się kurczyć w strachu okrutna zaborczość imperializmu niemieckiego w katastrofalne dni kapitulacji i jak może się energicznie rozprężyć, gdy się wydaje, że już minęło niebezpieczeństwo i że już można liczyć na bezkarność.

Otóż odkrywcy getyngińskiej prawdy o naszych Ziemiach Zachodnich zwracają się z pobożnym orędziem do swojego narodu, które na razie ma zastępować oręż wojenny. Mają oni na myśli, jak już powiedzieliśmy, przede wszystkim kierowników Kościoła Ewangelickiego, którzy się ośmielili wzywać naród niemiecki do umiarkowania i rozwagi; ale niemniej mają też na widoku tych lekkomyślnych mężów stanu, którzy by zechcieli rezygnować z naszych Ziemi Zachodnich; a także tych indywidualnych obywateli, którzy by kwietystycznie chcieli się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy.

Swoją *drohende Mahnung* zwracają uczeni getyngińscy coraz do innego ze swoich trzech adresatów, nie zawsze wywołując imiennie oskarżonych. Trzeba więc przy każdej ich wypowiedzi szukać w myśli tego adresata.

W paru tylko miejscach tym adresatem jest aliant zachodni, chyba przede wszystkim zamorski, którego nie upominają, lecz mu raczej przypominają, jak pewnie liczą na jego sukurs.

W krótkim *exordium* stwierdzają na wstępie, że ponowne zjednoczenie Niemiec jest pierwszym warunkiem, od którego zależy w ogóle porządek prawny światowej społeczności międzynarodowej i oparte na zaufaniu bezpieczeństwo. I zapowiadają złoźnie, że spojrzą na to zagadnienie z moralnego punktu widzenia, *mit dem evangelischen Verständnis*. Jednocześnie zapowiadają od razu, że będą prostowali rzekome „argumenty etyczne”, które mają na celu pozbawić Niemcy ziem wschodnich i zakwestionować ich prawa, które są niezbywalne. Swoje prawowanie o ziemię polskie chcą, zdawałoby się, oprzeć przede wszystkim na prawie moralnym. Ale jednocześnie w swoich rozważaniach wysuwają na pierwsze miejsce argumenty, oparte jakoby na prawie państwowym i międzynarodowym. Mówią o „prawie i etyce”, nie zaś o etyce i prawie, jako o podstawach „trzeźwej polityki realnej”.

Już w tym krótkim *prooemium* nietaktycznie i niepotrzebnie podnoszą przyłbicę. Po pierwsze, dyskwalifikując argumenty moralne, niewygodne dla ich celów, jako rzekome, zdradzają się z tym, że nie myślą naprawdę o tych zasadach i argumentach moralnych, jakie się narzucają ocenie moralnej niezależnie od interesów oceniającego, a często wyraźnie wbrew nim. Po drugie zaś, stawiając prawo w porządku swych rozważań na pierwszym miejscu przed etyką, a ściślej mówiąc, przed moralnością, pokazują tym dobitnie, że lekceważą nakazy moralne. Kto bowiem naprawdę ze stanowiska tych nakazów chce rozważyć jakieś zagadnienie, ten wysuwa argumenty prawne dopiero wtedy, gdy zbada i się upewni, że się opierają niewątpliwie na zasadach moralnych. Rozwijając swoją argumentację, uczeni getyngieńscy wbrew swojej woli coraz bardziej przekonują czytelnika, że tylko chcą przesłonić swe zaborcze cele pozorną konstrukcją praw moralnych.

Za sprawę natury moralnej chcą autorzy orędzia od razu uważać zjednoczenie Niemiec. A tymczasem powstaje od razu zagadnienie moralne: czy ocena moralna nakazuje bezwzględnie, by się zrosła znów w jedną całość wilhelmowską, albo nawet hitlerowską, Rzesza Niemiecka.

Samo to państwo wilhelmowskie i jego istnienie może być przedmiotem oceny moralnej. Charakter państwa zależy przede wszystkim od tego, czy ci, co w tej chwili są w nim przy władzy lub co jedynie mają widoki, że po tych czy innych wyborach znajdą się u steru, mają zamysły zaborcze, czy też szukają pokojowego współżycia z innymi narodami. Otóż dziś w Republice Federalnej mają władzę lub ją mieć będą w najbliższej przyszłości wyraźni i notoryczni zwolennicy rewindykacji terytorialnych w stosunku do Polski i Czech.

Dzieje Niemiec po pierwszej wojnie wykazały, jak plastyczna jest masa niemiecka, gdy znajdują się ręce zręczne, by ją dla swoich celów i na swój sposób urabiać. A doradców i inspiratorów mają te czynniki rządzące nie byle jakich: na pozór humorystycznym, w gruncie rzeczy groźnym ich wykładnikiem jest właśnie Koło Getyngieńskie, o którym tu mowa. A poszczególne

osobistości wybitne, choć nawet mówią wyraźnie, co myślą o rewindykacji, (jak np. kardynał Döpfner) spotykają się z brutalną reakcją opinii aktywnych i krzykliwych kół szowinistycznych.

Przy tym układzie rzeczy nie jest ani bezzasadne, ani przesadne twierdzić, że Republika Federalna jest spadkobierczynią państwa wilhelmowskiego wzmocnionego pewnymi nabytkami z okresu hitlerowskiego. I chyba wolno postawić pytanie, czy w oczach oceny moralnej, opartej na trzeźwych i dalekosiężnych przewidywaniach, samo istnienie takiego właśnie państwa niemieckiego, sukcesora najgorszych tradycji nacjonalizmu, nie jest już złem moralnym.

Republika Federalna jest widowym świadectwem, że zrezygnowano z obowiązku, by humanitarnymi środkami wychować od podstaw moralnie znieczulone na wszelką zbrodnię społeczeństwo niemieckie. To zadanie wymagało cierpliwego, pielęgnarskiego wysiłku i głębokiego ludzkiego spojrzenia na oszalałych i pogrążonych w złej doli ludzi. Ale łatwiej było statystycznie przeliczyć pozostałą po wojnie populację Niemiec, moralnie pozostawić ją samej sobie, ująć ją pospiesznie w nowe państwo, a z tego państwa uczynić nowego sojusznika, który przez tę sojuszniczą równość poczuje się, — rzecz jakże paradoksalna moralnie — współwycieczką.

Otóż jeśli złem jest, że odżyło państwo zaborcze w swych odwiecznych tradycjach, które wywołało dwie najkrwawsze wojny w świecie, to tym większym złem byłoby, gdyby to państwo wchłonęło jeszcze terytorium Republiki Demokratycznej z jej siedemnastoma milionami ludności. Z tym powiększeniem tak znacznym liczby ludności zwiększyłby się potencjał militarny zjednoczonego państwa, który przecież w ostatecznej instancji zależy właśnie od zasobu ludzkiego, mimo wszelkich udoskonaleń sztuki zabijania. Jest jasne, że zjednoczone państwo prusko-niemieckie w samym środku Europy dążyłoby do hegemonii i stałoby się czynnikiem decydującym o wojnie i pokoju.

Zrozumiał to przed dwoma laty profesor Karol Jaspers i odważnie powiedział swojemu narodowi, że w jego własnym interesie, dla jego życia duchowego i twórczości kulturalnej jest pożądane, by dawne państwo niemieckie nie zrastało się ponownie w jedną całość. Nie usłyszał tego głosu sumienia narodowego rząd Republiki Federalnej i, rzecz dziwna, nie zauważyły tego głosu oba rządy anglosaskie, w których aksjomatyce politycznej naczelne miejsce zajmuje zjednoczenie Niemiec i zachowanie Berlina jako ich stolicy.

W tych państwach, gdzie tak szybko rozwijają się różne działy socjologii, zaniedbane są widocznie badania grupy państwowej. Bo przecież stolica jest dla państwa tym, czym dla komórki organicznej jest centrosoma. I podobnie jak to ciało, pełne ukrytych dyrektyw rozwojowych, osłonięte jest zewsząd możliwie grubą powłoką tkanek, tak też narody wszelkich czasów starały się osłaniać swoją stolicę, swoje społeczne centrosoma, dużymi terytoriami, oddalającymi ją od granic państwa. Gdyby w zjednoczonym państwie niemieckim ze stolicą w Berlinie znaleźli się u steru ludzie getyngeskiego pokroju, to uważaliby granicę z roku 1914 za elementarny wymóg swojej racji stanu, przy tym za etap minimalny ku bezpieczniejszej granicy na Niemnie, Bugu i Sanie, albo może nawet na Dźwinie i Dnieprze.

Takie refleksje moralne i socjologiczne nasuwają się w związku z postulatem reunifikacji Niemiec, który jest nienumerowaną tezą naczelną orędzia getyngeskiego. Same tezy tego orędzia trudniej poddać systematycznej dyskusji, bo nie są sformułowane dość jasno i nie są dość wyraźnie oddzielone. Trzeba je więc dopiero wydobywać z tekstu orędzia i ostrożnie a lojalnie ich treść formułować.

Orędzie getyngeskie miesza zaraz na wstępie wewnętrzne prawo Republiki Federalnej z normami prawa międzynarodowego. Reunifikacja Niemiec w ogóle nie może być oparta o Ustawę Zasadniczą Republiki Federalnej. Dla ciała międzynarodowego bowiem, które jest władne rozstrzygać o przydziale terytoriów poszczególnym państwom, nie może być miarodajne wewnętrzne prawo państw zainteresowanych. Niebezpieczny więc postulat dla współżycia państw wysuwają autorzy orędzia, chcąc ze swojej konstytucji wywieść roszczenia do określonych granic. Przy skłonności imperiaлизму niemieckiego do nabywania terytoriów łatwo by można sobie wyobrazić, że federalna Ustawa Zasadnicza (*Grundgesetz*) stanowiłaby, iż Alzacja, Lotaryngia, albo kantony Bazylei i Zürichu tworzą integralną część państwa. Ale taka deklaracja nie zobowiązywałaby do niczego konferencji pokojowej.

Ta Ustawa Zasadnicza nie może decydować o granicy z Polską tym bardziej z dwóch jeszcze racji. Po pierwsze, w chwili, gdy konferencja poczdamska oddawała Polsce ziemie po Odrę i Nysę, nie było w ogóle żadnego państwa niemieckiego na terytoriach pokonanej Rzeszy hitlerowskiej: była na nich tylko ludność niemiecka, poddana władzom okupacyjnym. I konferencja ta zgodnie z kapitulacją bez warunków (*unconditional surrender*) stworzyła tylko strefy okupacyjne, z wyjątkiem ziem na wschód od Odry i Nysy, które oddała Polsce, dając jej pełną swobodę działania, skoro uprawniła ją do usunięcia ludności niemieckiej. Republika Federalna powstała znacznie później, a jej prawo wewnętrzne nie jest miarodajne dla żadnej ewentualnej konferencji międzynarodowej. Tym bardziej, po drugie, że Odra i Nysa są granicą nie Republiki Federalnej, lecz Republiki Demokratycznej.

Ale sama konferencja pokojowa przy obecnym stanie faktycznym i prawnym nie ma, jak się wydaje, wyraźnie określonego zadania. Uznać istnienie jakiegoś nowo powstałego państwa, to akt prawa międzynarodowego, którego dokonuje każde państwo mocą swej suwerenności oddzielnie, bez wspólnych z innymi konferencji, a w szczególności bez konferencji pokojowej. Państwa zachodnie uznały istnienie Republiki Federalnej, skoro przyjęły ją w poczet swoich sojuszników; Związek Radziecki uznał i Republikę Federalną, i Republikę Demokratyczną.

Na konferencji pokojowej państw, tu zainteresowanych, nie stałoby tematów do rozpraw. Wzmocnia tę prostą koncepcję jeszcze oczywista analogia: liczne, świeżo powstałe, państwa afrykańskie zwołują różne konferencje, poświęcone zagadnieniom specjalnym, czy też nawet ogólnoorganizacyjnym. Ale nie zwoływały nigdy konferencji pokojowej, bo taka finalizuje wojnę. Nie było zaś wojny między sojusznikami drugiej wojny światowej, a obydwoma Republikami niemieckimi, jakie powstały dopiero po owej wojnie. Ewentualna więc konferencja państw alianckich i sukcesyjnych nie byłaby chyba konferencją pokojową w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Prawnicy Getyngińskiego Koła z pewnością rozumieją to doskonale. I przypomnienie Ustawy Zasadniczej w tezie pierwszej zwrócone jest właściwie do obywateli Republiki Federalnej i do jej rządu. Orzeka ono, że wykroczyłby przeciw podstawowej ustawie państwa, kto by się opowiedział za rezygnacją z ziem wschodnich. Przypomnienie to jest pełne treści: kto nie szanuje ustawy państwowej, tego łatwo oskarżyć o zdradę stanu, gdyby ludzie getyngińskiego pokroju lub przez nich inspirowani zdobyli możliwość swobodnego działania zgodnie ze swoją postawą emocjonalną i dalekosiężnymi celami.

Do tej *drohende Mahnung* na użytek wewnątrzpaństwowy, mówiąc inaczej, do łagodnej na pozór, ewangelicznej czy ewangelickiej perswazji na dyskretnej kanwie zastraszenia, powraca Koło Getyngińskie wielokrotnie. W tezie piątej przypomina, że kierownicy państwa i obywatele winni się przeciwstawiać aneksji niemieckich terytoriów, niezgodnej przecież z materialnym prawem międzynarodowym. A w tezach dwudziestej drugiej i dalszych Koło poucza kierowników państwa, jaka winna być polityka zagraniczna. Nie mówi tu bynajmniej rzeczy nowych: daje wskazania, których państwo krzyżacko-pruskie trzymało się od wieków aż do swej kulminacji w hitleryzmie. Cel polityki powinien być niezmienny aż do jego pełnego zrealizowania. Getyngińscy badacze wschodu nie formułują go wyraźnie.

Przy niezmiennym celu getyngińscy badacze zalecają natomiast elastyczny dobór środków, zależnych od możliwości chwili. Ale ostrzegają jednocześnie mężów stanu, by czasem nie uznawali za ostateczny jakiegóż układu rzeczy, niezgodnego z prawem (granicy z Polską). Obowiązkiem (czy moralnym?) jest prowadzić politykę dalekowzroczną, licząc na to, że układ rzeczy zmieni się tak, iż będzie można osiągnąć swój cel pokojowo. Obowiązkiem też już nie tylko męża stanu, lecz i każdego obywatela jest w ustroju demokratycznym znać obecny układ rzeczy, w którym trzeba podejmować decyzje. W szczególności ostrzega Koło wszystkich Niemców, że wszelka deklaracja rezygnacji z roszczeń prawnych międzynarodowych jest nieposzanowaniem prawa międzynarodowego równie wielkim, jak naruszenie tego prawa przez tych, na których rzecz Niemcy rezygnowaliby ze swoich roszczeń uprawnionych. Jest złamaniem prawa (*Rechtsbruch*) tym większym, że prawo narodów jest „ostrą bronią polityki zagranicznej”, która może się stępić lub złamać przy takich niewczesnych rezygnacjach. Chyba niecodzienna jest myśl, że prawo narodów można ujmować tak „militarnie”: zazwyczaj uważają ludzie, że jest ono podstawą do wzajemnego rozumienia między narodami i spoiwem, które je łączy pokojowo.

Właściwie nic już nie trzeba dodawać do tych pouczeń, by nie zmniejszyć ich mimowolnego komizmu. Co najwyżej można poradzić czytelnikowi, by przeczytał raz jeszcze poemat Reineke Fuchs, nieśmiertelny epos Goethego, gdzie już jest powiedziane z wykwinną prostotą wszystko to, co getyngińscy marzyciele powiedzieli z prostactwem kaprala.

Z taką samą prostacją szczerością rozwijają getyngińscy uczeni swój pogląd na sytuację na Wschodzie, uzasadniając tym pośrednio swoje powyższe wskazania zbawienne. Opowiadają się przeciw temu, by zacieśniać stosunki polityczne z Polską. Według nich Polska nie jest samodzielnym czynnikiem polityki światowej, bo jest członkiem bloku; i nie ona będzie osta-

tecnie decydowała o swoich granicach zachodnich. I zacieśnienie stosunków polsko-niemieckich nie przyczyniłoby się w niczym do zmniejszenia napięcia między Wschodem i Zachodem. Nie ma też powodu, by się liczyć z pragnieniami i postulatami Polski. Zjednoczenie Niemiec natomiast samo przez się jest podstawowym celem polityki światowej.

Autorzy nie mówią, w czym rozumieniu jest ono takim celem. Zdaje się, iż mają na myśli zarówno to, że bez zjednoczenia nie będzie trwałego pokoju na świecie; dalej to, że jest ono celem polityki państw zachodnich; i wreszcie to, że tego chce Bóg, który nakazem miłości bliźniego zobowiązał Niemcy i Niemców, by służyli ponownemu ustaleniu pokoju³. Nie sprzeciwiając się przemocy, niezgodnej z prawem, Niemcy, mężowie stanu i obywatele, przyczyniliby się do anarchii międzypaństwowej i w ogóle do zagrożenia prawa międzynarodowego; szliby też na rękę polityce amoralnej i mającej na widoku tylko cel do osiągnięcia. A przecież Niemcy mają obowiązek stać się opoką prawa po tych przekroczeniach prawa, jakie popełniono w imieniu Niemiec. Te przekroczenia nie pozbawiły Niemiec ich praw, tylko właśnie nałożyły obowiązek czuwania nad (własnym?) prawem.

Politykę państwową opierać trzeba wedle orędzia getyngeskiego na wskazaniach moralności⁴. Ale to nie znaczy, by w stosunku do polityki, wyznaczonej przez pewne cele, wolno było uprawiać politykę, rzekomo opartą na zasadach moralnych. To zastrzeżenie, niby niepozorne, w orędziu ma sens głęboki i pozycję dominującą. Właściwy jego sens jest ten, że powoływać się na zasady moralne należy tak, by to służyło z góry powziętym celom politycznym. Temu wskazaniu wierne jest orędzie w całokształcie swoich wywodów. Zgodnie z nim getyngeski badacze umiejętnie operują też nakazem miłości bliźniego.

W swoich wywodach autorzy orędzia mają odwagę stwarzać pozór, jakoby się kierowali ewangeliczną miłością bliźniego. Otóż ta miłość bliźniego każe się troszczyć o pokój i prawo na ziemi. Ale nie jest zbyt surowo wymagająca ta miłość bliźniego. Kierownicy państwa i jego obywatele mają naczelny, podstawowy obowiązek, by się troszczyć o dobro swojej społeczności i swoich współobywateli. Zaniedbując ten obowiązek, człowiek postępuje wbrew swemu obowiązkowi moralnemu, choćby to czynił dla dobra obcego człowieka i choćby nawet prawa tego obcego należało nie wiedzieć jak uwzględniać.

W tezie dziewiątej autorzy getyngeski chyba najtrafniej sformułowali to, co jest najbardziej istotne w antymoralnej postawie nacjonalistycznej. Można tę samą myśl zamknąć w słowach, jeszcze zwięźlejszych: troszcz się tylko o dobro swoich własnych współziomków choćby ono nie wiedzieć jak kolidowało z dobrem innych ludzi. I żeby nie zostawić żadnej wątpliwości, co mają na myśli, getyngeski autorzy rozwijają swoją tezę:

„Polityka zewnętrzna zostawia mężowi stanu ograniczony luz działania, gdy chodzi o popieranie interesu obcych kosztem własnych współobywateli. W każdym razie przekracza on miarę tego, co dozwolone, gdy mają być poświęcone życiowo ważne prawa własnego ich państwa oraz ich współobywateli”⁵.

³ Tezy 13-15.

⁴ Tezy 7-9.

⁵ Teza 9.

I tu już czyha tylko swoista chrześcijańsko-pruska teologia na sposobność, by mocno wesprzeć swoistą etykę.

„Byłoby to sprzeciwem w stosunku do etyki negować misję czy zadanie państwa, które mu zostało powierzone w rozumieniu chrześcijańskim przez Boga, by chroniło ono ten porządek rzeczy ziemskich, jaki ustanowił Bóg”.

By konkluzywny i sugestywny był ten argument, dopowiedzieć trzeba w tym poszczególnym przypadku, o który chodzi getyngińskim autorom, co następuje: Bóg wyznaczył (zapewne prowizorycznie) granice Niemiec w roku 1937, i mąż stanu czy obywatel niemiecki, który by zechciał odmawiać swemu niemieckiemu państwu tych granic, sprzeciwiałby się woli Bożej. Chronić tych granic nakazuje niemieckiemu mężowi stanu również Ustawa Zasadnicza, wedle której należy dążyć do jedności Niemiec (*Germanii*)⁶. Oczywiście, i tę ustawę wraz z całym porządkiem ziemskich rzeczy niemieckich musiał podyktować niemiecki bóg. Tej rzeczy oczywiście nie dopowiadają już wprawdzie pobożni autorzy.

Ale dla wzmocnienia swojej argumentacji zaznaczają z naciskiem moralnym, w którym czuć hamowane oburzenie moralne, że nie można przypisywać Niemcom jako narodowi całości ohydnych zbrodni, które popełniono w imieniu Niemiec⁷.

Jak dalece autorzy orędzia nie czują ogromu zbrodni niemieckiej i krzywd, wyrządzonych Polsce i Polakom, o tym świadczy najlepiej w tezie trzynastej propozycja, by drogą, iżby tak rzec, moralnego *clearingu* Polacy i Niemcy zapomnieli o krzywdach, wzajemnie uczynionych, bez jakiegokolwiek zadośćuczynienia.

Odrętwieni czy też znieczuleni moralnie, getyngińscy autorzy nie czują najwidoczniej absolutnej dysproporcji między dolegliwościami powojennymi uchodźców niemieckich, a ogromem cierpienia Polaków, już to wystrzelanych w nalotach krótkiej wojny, już to rozstrzelanych w dziennych łapankach, już to zamęczonych w obozach pracy, obozach koncentracyjnych i więzieniach. Tę niecną propozycję moralnego *clearingu* i „pojednania narodów” zaopatrują przy tym autorzy orędzia natychmiast, w następnym zdaniu, ważną restrykcją: odrzucają mianowicie wszelkie prawo Polski do terytorialnego odszkodowania; rezygnacja z praw państwa nie może się przyczynić do wzajemnego porozumienia. A zresztą samo pojednanie narodów biorą w cudzysłów urojenia, jedyny w ogóle cudzysłów na przestrzeni całego orędzia.

Te przypomnienia i upomnienia moralizujące mają na uwadze niemieckiego męża stanu i obywatela. Bardziej stanowcze upomnienia i chyba wyraźniej bardziej gorzkie, zwraca getyngińskie orędzie do Kościoła Ewangelickiego. Autorzy mówią tu Kościołowi Ewangelickiemu wprost i bez ogródek, że nie ma on nic do powiedzenia w konkretnych sprawach politycznych. Pan (*Herr*) nie dał Kościołowi żadnych widomych nakazów. Pozostawił wszystko trzeźwemu uznaniu ludzi, którzy mają się kierować przykazaniami bożymi i znajomością rzeczy, jeśli decyzje nie mają być arbitralne. Duchowni więc

⁶ Teza 10.

⁷ Entsetzliche Verbrechen, die im deutschen Namen begangen wurden.

ewangelicy i ludzie świeccy winni baczyć, by swymi niekompetentnymi zaleceniami i radami nie wystawiać Ewangelii na niebezpieczeństwo, że mogłaby się stać świecką ideologią.

W sprawach politycznych powinno decydować chrześcijańskie sumienie kompetentnego męża stanu. Kościół nie może się wystawiać na zarzut, że przez swoją nieznamość spraw politycznych daje błędne wskazania; ma wszak chrześcijański obowiązek wystrzegać się błędów. Kościół ma niewątpliwie pielęgnować postawę moralną (*Gesinnungsethik*), ale niemniej też ma wyrabiać odpowiedzialność moralną (*Verantwortungsethik*). Nie spełnialiby zaś dostojnicy kościelni tego nakazu, gdyby swoje powołanie kapłańskie uważali za źródło wiedzy politycznej. Ta ich nieodpowiedzialność moralna mogłaby szkodliwie wpłynąć nawet na spójność gmin i społeczności ewangelickich⁸.

Te refleksje, niezwykle pobożne, bo wciąż apelujące do autorytetu Ewangelii, wydobyte na jaw w zwięzłym ujęciu z krętych zdań tekstu orędzia, same przez się, bez żadnych komentarzy, tak nieodparcie uderzają swoją obłudą, że można je postawić na równi z przemówieniami Reinekego, którymi tak uświetnił Goethe swój poemat. A przy tym nie są one zgodne z tym, co mówi orędzie na innym miejscu, w tezie dwudziestej szóstej. Z tych refleksji wynika chyba, że zawód męża stanu jest profesją wyspecjalizowaną, wymagającą swoistego wykształcenia i przygotowania praktycznego, jak to bywało i tylko bywać mogło w państwach autokratycznych lub arystokratycznych, gdzie młodzież uprzywilejowaną przygotowywano specjalnie na naczelne stanowiska państwowe.

Ale autorzy orędzia godzą się z tym, że *Germania* jest czy też ma być państwem demokratycznym⁹. A w demokracji, sami powiadają wyraźnie, na każdym obywatelu państwa ciąży poważny obowiązek, by znać aktualną sytuację wewnętrzną państwa i sytuację międzynarodową. A tymczasem orędzie chyba bezzasadnie zakłada, jako ważną przesłankę swoich upomnień (*drohende Mahnung* czy też *mahnende Drohung*), zwróconych do dostojników Kościoła Ewangelickiego, że zaniedbali oni tego obowiązku i że ani indywidualnie, ani zbiorowo, jako ewangelicka społeczność, nie mają dostatecznej orientacji w sprawach politycznych. Orędzie nie dopełnia jednej ważnej ekshortacji: nie wzywa dostojników ewangelickich oraz wszystkich protestantów, by nie korzystali ze swoich praw politycznych. A przecież ewangeliczne rozumienie rzeczy autorów z pewnością im to uczynić nakazywało: by ludność ewangelicka, a zwłaszcza ewangelicy kapłani, nie szkodzili interesowi *Germanii*.

Jak widać z tych wszystkich pouczeń i upomnień, getyngieńscy autorzy przeprowadzili surową i szczegółową katechizację moralną swojego narodu. Dali wyraźne wytyczne, jak dążyć do tego porządku moralnego, jaki w całej społeczności ziemskiej chce widzieć bóg, prawdziwie niemiecki, na którego tak często powoływał się Wilhelm II, a za nim Hitler. Ale nienamaszczeni pasterze dusz getyngieńscy nie poprzestają na tych słownych wskazaniach moralnych. Świecą też sami przykładem miłości bliźniego w naprawdę czu-

⁸ Tezy 18-21.

⁹ Tezy 9, 26.

Jej trosce o tych Polaków, którzy, łamiąc prawo niemieckie, zamieszkują na ziemiach, co powrócą do dobrej swej matki, bismarkowskiej *Germanii*.

Otóż mówią ci autorzy, że pełni miłości bliźniego Niemcy zatroszczą się, by Polacy, wróciwszy do swego państwa okrojonego, mogli korzystać z doświadczeń gospodarczych, jakie zdobyła Republika Federalna oraz z ich technicznego postępu: to da Polakom widoki, że staną na poziomie zachodniej industrializacji¹⁰. A najbardziej humanitarni rewindykacjoniści robią nawet to ustępstwo, że część ludności polskiej będzie mogła pozostać w granicach rozszerzonych Niemiec: zapewne jako tańsze ręce robocze, których wciąż zbyt mało w przemyśle niemieckim.

Autorzy orędzia w tej tezie szesnastej najwidoczniej chcą też ofiarować swoje usługi Polsce w masowym przesiedlaniu ludności polskiej. Trzeba przyznać, że w technice masowego transportu ludności, z jej zgodą lub wbrew jej woli, hitlerowska III Rzesza dała Niemcom doświadczenie i postępy ogromne. Ale autorzy getyngieńscy chyba mimo wszystko nie doceniają trudności tej planowanej nowej wędrówki kilkunastu milionów ludzi. Nie widzą rzeczy oczywistej, a mianowicie tego, że całą tę masę ludzi trzeba by wyrwać przemocą ze stanu długoletniej zasiedziałości.

„Ewangeliczne rozumienie” każe zastanowić się przede wszystkim nad losem przyszłych przesiedleńców niemieckich. Broniliby się przed ruchem na Wschód, bo musieliby się oderwać od swoich dobrze prosperujących warsztatów pracy i opuścić wygodne mieszkania, zdając sobie sprawę, że na nowych miejscach nie czekałyby na nich fabryki w pełnym biegu i komfortowe apartamenty.

A ludność polska musiałaby się znaleźć na znacznie okrojonym terytorium, gdzie czekałoby ją bezrobocie i stłoczenie, wręcz nie do zniesienia, w przeludnionych mieszkaniach, w warunkach, bardzo podobnych do tych, jakie mieli w czasie wojny wysiedleni przez Niemców z zachodniej Polski uchodźcy polscy w tak zwanej Generalnej Guberni. Jak widać, autorzy getyngieńscy wyznaczają Polsce i Polakom w swoich ewangelicznych marzeniach rolę jedynego państwa i narodu, naprawdę pokonanego w drugiej, czy też raczej chyba w drugiej i trzeciej już wojnie światowej. Getyngieńska teologia moralna ma dla tej koncepcji swoje niewątpliwe uzasadnienie: niemiecki bóg musi surowo ukarać Polaków za to, że się ośmielili pierwsi stawić czoło niemieckiej misji moralnej na Wschodzie.

To wszystko, co powiedziało getyngieńskie orędzie, nie jest w zasadzie nowe, ale jest bardzo znamienne przez odrażającą obłudę moralną i religijną. Daje ono iście dantejski obraz *della perduta gente*, której już nic nie może zmienić i zbawić moralnie. Nic nie może już sprowadzić tych ludzi z drogi utartych schematów myślowych i żaden już wstrząs moralny nie stłumi ich nienawiści do Polski, ani ich pragnienia rewanżu.

Głusi są też na wszystkie trzeźwe argumenty, jakie słyszą od najbardziej kompetentnych rzeczoznawców. Powagi prawa międzynarodowego tej miary co profesor uniwersytetu paryskiego Roger Pinto¹¹, lub profesor uniwersytetu

¹⁰ Teza 16.

¹¹ *Thèses juridiques de Göttingen*. „Cahiers Pologne-Allemagne” z. 4, 1963, s.22.

krakowskiego, Ludwik Ehrlich, cierpliwie i beznamiętnie tłumaczą im od lat dziesiątka, że nie mają prawa powoływać się w swoich roszczeniach rewindykacyjnych ani na pakt Brianda-Kellogga, bo go sami pogwałcili, naruszając jednocześnie ugodę z Polską z roku 1934; ani na Kartę Atlantycką, której Niemcy w ogóle przyjąć do wiadomości nie chcieli w czasie wojny i wbrew niej rozpoczęły wojnę ze Stanami Zjednoczonymi; ani na Kartę Zjednoczonych Narodów, która wyraźnie mówi w swoim artykule 107, że państwo, które było w wojnie z jednym z sygnatariuszy tej karty, nie może się na nią powoływać; ani na Deklarację Praw Człowieka z roku 1948, która nie jest aktem normodawczym, lecz tylko wytyczną i pojemnym w zapowiedzi lepszej przyszłości postulatem, by zgodnie z nakazami moralnymi układało się pokojowe współżycie narodów; ani wreszcie na układ poczdamski, który właśnie wykreślał nowe granice i normował wysiedlanie Niemców z Polski. Ale autorzy getyngieńskiego pokroju z uporem i natarczywie wciąż na nowo, w coraz to innych publikacjach, próbują się powoływać na te właśnie źródła prawa narodów w swych niezliczonych, eksportowych, bo różnojęzycznych, wydawnictwach. Liczą ufnie, że fałsz, cierpliwie powtarzany i sączony do uszu, staje się dla słuchającego prawdą, zwłaszcza gdy ten nie bardzo się wzbrania weń uwierzyć.

Ta niewybredna „tatytyka getyngieńska” zmusza obrońców sprawy polskiej również do tego, że podejmują wciąż ten sam temat w różnym ujęciu, już nie dla przekonania getyngieńczyków, lecz z myślą o tych czytelnikach, którym może wygodniej by było w fałsz uwierzyć. Stąd też ośmielamy się zatrzymać uwagę czytelnika jeszcze chwil parę na pewnych rozważaniach, całkiem już elementarnych.

Wskutek więcej niż stuletniej niewoli głęboko weszło w naturę Polaka, że sprawy zbiorowe nawykł oceniać przede wszystkim ze stanowiska moralnego: prawo bowiem, pod którym pozostawał w swojej dzielnicy, stanowione było nie dla jego dobra, lecz gwoli jego pogwałcenia. I ten nawyk spojrzenia moralnego na sprawy zbiorowe pozostał mu do dzisiaj. Za naturalną też rzecz uważa, że tak istotną sprawę dla polskiego narodowego bytu, jaką jest sprawa zachodnich granic Polski, należy rozpatrywać przede wszystkim oczami oceny moralnej. A ma poczucie, że stać go na taką ocenę wszechstronną i bezstronną, bo tak potrafi patrzeć na rzeczy ludzkie ten, komu nieubłagany bieg dziejów narzucił w ciągu półtora wieku tak ogromny ciężar cierpienia.

Kto sam wiele cierpiał, ten wrażliwie wczuwa się też w cudze cierpienie. Stąd też należnie i humanitarnie ocenia Polak dolegliwości przymusowych uchodźców niemieckich i czuje żywy sprzeciw moralny wobec praktyk Republiki Federalnej, która podtrzymywała rozmyślnie ten dolegliwy stan rzeczy, by propagandowo wyolbrzymiać krzywdę wysiedlonych. I rozumie też Polak tęsknotę za rodzinnymi stronami tych, co je musieli opuścić na zawsze. Ale Polak ocenia jednocześnie z właściwą miarą różnicę wręcz przepastną między dolegliwością tęsknoty, a cierpieniem, jakie w czasie wojny zalewało całą Polskę. Z ziem polskich nie wysiedlano do kraju, gdzie czekałaby opiekuńcza ręka ziomek tej samej mowy. Polaków wysiedlano w najlepszym razie do Generalnej Guberni i do pracy przymusowej u ludzi wrogich, albo do obozów, które stawały się obozami zniszczenia.

Polak więc, nie może nie mieć poczucia, że nieporównywalna jest suma dolegliwości, jakiej doznali uchodźcy niemieccy, z sumą cierpień, jaka za sprawą Niemców przypadła w udziale Polakom. I ma stąd Polska prawo moralne do zadośćuczynienia, jakim w tym tragicznym przeciwstawieniu mogło być tylko to, że dla swoich rodaków zza Bugu i Sanu odzyskała dawne ziemie polskie, których ludności nie zdążyła zniemczyć całkowicie przemoc niemiecka.

Trzeba też podkreślić z całym naciskiem, że te cierpienia Polaków w czasie drugiej wojny są wystarczającym uzasadnieniem moralnym przesunięcia na zachód polskich granic i przesiedlenia ludności niemieckiej. Co więcej, trzeba podkreślić z naciskiem jeszcze większym, że w poczuciu Polaka argumenty najbardziej oczywiste i dla nas korzystne, jakie płyną z kart międzynarodowych i traktatów, są czymś wtórnym i mniej ważnym, a nawet wręcz obniżającym moralną wagę tej niespornej sprawy, wobec tego jednego prostego argumentu: miarę krzywd, jakich naród polski doznawał od półtora wieku od imperializmu niemieckiego, przepełniły ludobójcze praktyki hitlerowskie w drugiej wojnie; i naród polski ma prawo moralne, by się poczuć bezpiecniej przez osłabienie odwiecznego wroga i aby zdobyć warunki materialne życia, przy których będzie mógł pracowitym wysiłkiem stopniowo zalecać swoje rany.

I naród polski ma jeszcze jedno ważne prawo moralne w stosunku do swych dawnych aliantów zachodnich: może od nich oczekiwać zasadnie, że przez leżący w ich mocy nacisk nie dopuszczą, by nacjonalizm niemiecki, który już dwa razy wywołał powszechną rzeź narodów, w swoim duchu wychowywał pokolenie najmłodsze, które w innych warunkach mogłoby się stać rzecznikiem i współtwórcą pokoju.

Podobno jest rzeczą naiwną mówić o prawach moralnych tam, gdzie decyduje jakoby prosty rachunek sił przeciwstawnych i, co gorsza, krótkowzroczny wzgląd rządów na wygodę chwilową. Ale rzut oka na minione dzieje niezupełnie potwierdza ten mechanistyczny rachunek. W roku 1815, na Kongresie Wiedeńskim, parę mocarstw o sile dominującej swobodnie krajało mapę Europy i jak bezwolny piasek przesypywało narody, które nie dorównywały im siłą. I w ciągu całego wieku, aż po rok 1914 nie liczyły się cierpienia narodów, oddanych w moc wroga. Przekorny, a jakoś sprawiedliwy, los sprawił tymczasem, że obie wojny światowe wywołała właśnie sprawa tych „małych” narodów, które miały nie wchodzić w ogóle w rachubę.

Widocznie na rysownicy dyplomatycznej nie uwzględniano w ciągu całego wieku pewnych imponderabiliów, które tak bardzo zmieniały rachunek. Dziś państwa zachodnie swoją pomocą gospodarczą i militarną uczyniły jak gdyby współzycieczką wczorajszego żalosnego kapitulanta. Dziś w szkołach zachodnio-niemieckich uczą ludzie getyngińskiego pokroju i zakazają dusze młodego pokolenia nacjonalistyczną nienawiścią, a podręczniki historii fałszywie przedstawiają dzieje, by obudzić stare dążenia i złudzenia.

A przecież tę młodzież niemiecką, która wyrosła już po wojnie, tak łatwo można było immunizować, dając ważki wpływ ludziom Tybingi, a Getyngińczykom przeciwstawiając obowiązkowe podręczniki szkolne, rzetelnie przedstawiające historię Niemiec za ostatnie lat sto, pióra takich historyków, jak M. Broszat, czy Golo Mann. Bo przecież i w NRF budzi się tu i tam su-

mienie, skrucha moralna, i pragnienie zbiorowego odrodzenia moralnego. Trzeba tylko głosem takich ludzi, jak Karol Jaspers, jak autorzy deklaracji tybingeńskiej, jak Neven-du-Mont, dać należyty rezonans w masach, a zwłaszcza u młodzieży, a osoby tych pionierów moralności publicznej otoczyć opieką tak, by nic nie groziło ich życiu. Polacy z tymi ludźmi nowego pokroju bez oporów wewnętrznych nawiązaliby kontakt, bez rezerwacji moralnych, ku ostatecznemu utrwaleniu pokoju w Europie i na świecie całym.